

dzieci często nazywają swe wychowawczynię lub matki po imieniu, ma się rozumieć, póki są małe. Walter Fredekind ma umysł na stopie rozwoju dwu lub trzyletniego dzieciaka.

— Za godzinę staniemy w Cherburgu, moi panowie — krzyknął kapitan Nieman, przebiegając koło nich.

— Brawo, a jak długo zatrzymamy się tam? — zawołał za nim Gelbke.

— Jutro ze wschodem słońca ruszamy dalej. Ładunek dla portu jest już przygotowany i za pół godziny go wyładuję.

— W samym porcie staniemy jednak dopiero w nocy?

— A co to szkodzi?

— Panu nic, ale mnie, mam różne interesy do załatwienia na lądzie.

— A czy dzisiaj ich pan nie może pozatwierać?

— Spróbuję. Ale jeśli nie...

— No, ostatecznie, coś na to poradzimy. Proszę się tylko pospieszyć.

Robert sam sobie nie wierzył, ale panna Firnau znowu przy wjeździe do portu zaczęła się podobnie gorączkować, jak to było w Hamburgu i Rotterdamie. W każdym razie na wiadomość, że okręt zbliża się do portu, wyszła zaraz na pokład i niespokojnie chodziła tu i tam, z nikim nie rozmawiając.

Dla jednego tylko pasażera zrobiła wyjątek. Kiedy p. Gelbke zaczął czynić przygotowania, aby udać się na ląd, podeszła do niego zdziwiona i zapytała:

— Pan już jest u celu podróży?

— O nie. Nie tak prędko mnie się stąd pozbędą — roześmiał się mały, ruchliwy staruszek. — Wsiadam tylko na ląd, aby załatwić kilka spraw.

— Tak późno wieczór?

— Może zostanę do rana. Kapitan zaczeka na mnie.

Odpłynął ku ladowi, a Irena długo za nim spoglądała. Dlaczego? Jakże zainteresowanie obudził w niej ten mały, stary człowiek, na którego z początku zdawała się zupełnie nie zwracać uwagi? Około godziny dziesiątej wieczór zaczęła się nawet dopytywać, czy wrócił. Kwatermistrz okrętowy przyniósł jej wiadomość, że nie.

W milczeniu oparła się Irena o poręcz i patrzyła w ciemne, spokojne tonie morza. W godzinę potem zastał ją dr. Burger jeszcze w tej samej pozycji.

— Panno Firnau...

— Nie usłyszała go.

Dotknął lekko jej ramienia. Wzdrygnęła się i zwróciła ku niemu twarzą pobladłą i wzburzoną.

— Co... ach to pan, panie doktorze?

— Czy pani nie pójdzie spocząć?

— Czy to już bardzo późno? Wieczór taki piękny.

Nie chciała wdawać się w dalszą rozmowę. W milczeniu odeszła do swej kajuty, chociaż widocznie wahała się.

Na drugi dzień znowu pierwsza była na pokładzie.

— Pani z pewnością dzisiaj bardzo źle spała — zwrócił się do niej kapitan z wyrazami współczucia. — Wygląda pani bardzo źle, widocznie jeszcze nie przyszła pani do siebie po wzruszeniach u łoża chorego.

— Istotnie bardzo mało dzisiaj spałam. Czy wnet odjedziemy?

— Czekam tylko na pana Gelbkego?

— To on jeszcze nie wrócił?

— Niestety, nie.

— O! tam nadchodzi — zawołała nagle i mimowoli lewą ręką przycisnęła serce. Przez kilka mgnień silne wzruszenie wybiło się na jej twarzy, poczem głęboki oddech ulgi podniósł jej pierś i cicho szepnęła:

— Wraca sam.

— A tak! sam powraca — potwierdził zdziwiony kapitan — przecież również sam wysiadł na ląd.

ROZDZIAŁ V.

Niedługo potem „Królowa Ludwika“ płynęła spokojnie po pełnym morzu, a świeże powietrze od-

działało na pozór tak doskonale na nerwy młodej kobiety, że poweselała. Kiedy dr. Burger spotkał ją na pokładzie, roześmiała się wesoło. Zachowanie się to Ireny zdziwiło bardzo Roberta, zwłaszcza, że dotychczas w wyrazie jej twarzy spotykał się tylko z głęboką zadumą i powagą.

Mały kaleka nie interesował jej już tak bardzo, jak z początku, była wprowadzie dla niego bardzo uprzejma i serdeczna, ale nie brała go już więcej na kolana i nie poświęcała mu tyle czasu, co dotychczas.

— Wszystko u kobiet jest tylko kaprysem — pomyślał sobie dr. Burger, kiedy sam stwierdził te wszystkie zmiany. — Ostatecznie jedna jest bliźniaczko podobna do drugiej.

Tem więcej wprawiło go w zdumienie oświadczenie młodej paniutki uczynione wieczorem. Morze było mętne, szare, ciężkie chmury kryły błękit nieba, lada chwila groził deszcz. Irena zeszła wcześniej do sali. Usiadła przy pianinie i zagrała kilka pieśni Schuberta. Wstała jednak szybko od gry, skoro tylko dźwięki muzyki zwabiły do salonu chętnych słuchaczy.



— Mamo — zawołał, wyciągając do niej ręce.

Nadaremnie starano się ją powstrzymać. Ponieważ jednak muzyka rozanimiwała zebranych, miejsce jej przy fortepianie zajęła córka kupca frankfurckiego i popłynęły znane i modne melodie.

Irena ukryła się w małym gabinecie czytelnym. Po chwili pospieszył tam za nią dr. Burger.

— Przepraszam, jeśli przeszkadzam — pani może chce być sama?

— Niekoniecznie, każdy ma tu te same prawa. Czy pan, doktorze, nie jesteś przyjacielem muzyki?

— O! jestem, ale nie o każdym czasie i nie wedle jakiegobądź gustu. Muzyka wymaga nastroju. Produkcy tamtej paniutki nie zupełnie zadawałają moje wymagania.

Usiadł i otworzył jedną z książek, leżących na stole.

Irena podniosła się w tej chwili z sof, na której siedziała, podeszła na palcach do drzwi i wyjrzała, czy nikogo nie ma.

— Jesteśmy sami — przemówiła, siląc się na uśmiech. — Chciałabym o coś pana zapytać.

— Proszę.

Rzucił książkę, na pół zdziwiony i gotów do usług.

— Rozchodzi się o małego Waltera Fredekinga.

— Ah...

— Pan dla rozwoju tego dziecka postawił bardzo smutne horoskopy. Czy pan nie sądzi, że ostatecznie staranna i rozumna opieka nie mogłaby trochę polepszyć jego stanu.

— Nie.

— Czy to „nie“ nie dopuszcza żadnych zastrzeżeń?

— Według wiadomości nauki stanowczo nie. Wszzechwiedzącym zapewne nie jest nikt z ludzi.

— Pana widocznie dziwi, dlaczego ja tak bardzo zajmuję się losem tego dziecka?

— Musiałbym sobie wystawić świadectwo moralnego ubóstwa, gdybym chciał w ten sposób się pytać po dowodach miłości bliźniego, jakie pani przed kilku dniami złożyła.

Irena milczała przez chwilę, poczem zaczęła na nowo:

— Otwarcie mówiąc, panie doktorze, ja... ja... noszę się z myślą, aby tem dzieckiem stale się zająć.

— Pani?!

— Dlaczegożby nie?! Kocham dzieci, a moje stosunki...

— W każdym razie — przerwał jej żywo — nie nadszedł jeszcze dla pani czas, aby tak pełne następstw postanowienia podejmować. Pani życie jeszcze leży przed nią otwarte. Jest pani młoda, niezamężna. Może pani kiedyś wyjść za mąż, a kto wie, czy mąż pani pogodzi się z dzisiejszym pani postanowieniem.

Irena Firnau oparła się z gorzkim uśmiechem o poręcz siedzenia.

— Mam już przeszło dwadzieścia pięć lat, doktorze, budowa mojego życia już skończona. Panu przyznam się szczerze, mam poza sobą bardzo smutne doświadczenia. Sądzę, że nigdy już nie będę w tem położeniu, aby ktoś drugi miał stanowić o moim postępowaniu. Przeciwnie, muszę mieć kogoś, jakąś istotę, któraby mnie potrzebowała i której mogłabym się poświęcić.

— Pani spotka jeszcze dosyć dzieci, które staną się dla pani większą pociechą, niż to właśnie.

— Możliwe, ale dzieło moje ma być dziełem zaparcia się, dziełem poświęcenia i miłości! To, czego szukam, nie jest zyskiem, ale stratą. Strata podnosi, zysk pociąga w dół.

Robert podniósł się i stanął przed nią. Spojrzenie jego, stanowcze i poważne, spotkało się z marzycielskimi jej oczyma, pełnymi dziwnych blasków.

— Panno Firnau, takie postanowienia, jak to, podejmuje się rozsądkiem, nie sercem. Jeśli to dziecko raz znajdzie się w pani rękach, spocznie na pani odpowiedzialność za całe przyszłe jego życie. A pani nie jest osobą, któraby lekko ponosiła taką odpowiedzialność! Pani nawet nie wie, jaki ciężar pani bierze na swe barki, ciężar, który do rozpacz mógłby doprowadzić własną jej matkę.

Życie takiego nieszczęśliwego dziecka jest karą dla otoczenia. Dziecko samo nie cierpi tyle, gdyż jest nieczułe i nie rozumie swego położenia, ale naj-

więcej cierpią ci, którzy muszą je pielegnować i wychowywać. Trzeba bardzo silnego hartu duszy, aby ciągle patrzeć na taki smutny obraz, wiedząc, że nie ma się środka na zaradzenie nieszczęściu. Ciężkości tych nie rozjaśni już żaden jasny promień, w beznadziejnych oczach nie pojawi się nigdy wdzięczny błysk radości! Nie... niech mi pani wierzy! Akt, który pani ma zamiar spełnić, stanowi pokutę, wielką i straszną zarazem, dlaczego pani chce poddać się takiej pokucie?

— Ależ ja tylko w jednym wypadku robię to, co pan robi w tak wielu razach. Pan poświęca całe swoje życie, swoje zdolności i pracę temu, co mnie pan odradza?

— To całkiem co innego, panno Firnau. My wyszukujemy wprowadzić nie rozwinięte dzieci, ale przecież takie, które do pewnego stopnia można jeszcze rozwijać. Stan ich nie może być beznadziejny. A Walter Fredeking jest beznadziejnie chory, on już więcej, niż dotychczas, nigdy się nie rozwinię. Dlatego niech pani się dobrze zastanowi nad tem, co pani chce zrobić.

Ciąg dalszy nastąpi.